

*K*RONIKI
ROZDARTEGO ŚWIATA

CIEŃ GILDII

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2017
Text © copyright by Aleksandra Janusz, 2017

Ilustracja na okładce *Milena Młynarska*
Typografia *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

W SERII:
Asystent czarodziejki
Utracona Bretania
Cień Gildii

W przygotowaniu kolejny tom

ALEKSANDRA JANUSZ

*K*RONIKI
ROZDARTEGO ŚWIATA

CIEŃ GILDII



NASZA KSIĘGARNIA

Trzymając głowę wysoko, patrzyłem przez mgłę zasłaniającą miniaturowy rynek Ombre. Zimowe słońce z oporami wylaniało się zza kamienic, sklepy z pamiątkami były jeszcze zamknięte na głucho. Wróble uciekały mi przed butów, kiedy kuśtykałem w stronę piekarni; z daleka docierał do mnie zapach rogalików i kawy z mlekiem. Ogrzewałem dłonie w kieszeniach płaszcza i w duchu przeklinałem wojskowy zwyczaj zrywania się z łóżka przed świtem.

Dwa miesiące temu zapoczątkowałem nową epokę w dziejach Arborii, ale prawie nikt jeszcze o tym nie wiedział.

Zabrzączał dzwonek w drzwiach i owionęły mnie ciepłe zapachy. Pieczywo sprzedawano tuż przy wejściu; pierwsi chętni stali w kolejce po bagietki, bułki i bochenki świeżego chleba. Z tyłu lokalu funkcjonowała pijalnia kawy i czekolady. Częściowo schowany za rządkiem słojów z ciastkami, młody wąsaty subiekt męł uprażone ziarna w srebrzyście lśniącem młynku w kształcie globusa. Tuż obok postawiono jeden z nowych próżniowych ekspresów Renlinga, balon z grubego szkła wyposażony w runy egzotermiczne. Wrzący ciemny płyn z wolna skapywał do filiżanki, roztrzaskując bogaty aromat. Za ladą na półkach wymoszczonych cienkim brunatnym papierem rozłożono słodkie bułki, rogalie i tarty. Wciągnąłem powietrze w płuca. Wciąż zdarzały się chwile, kiedy nie dowierzałem, że wróciłem do domu.

Rozejrzałem się. Arcymistrz Gildii Magów, Andreas Weyland, czekał już przy stoliku razem z pułkownikiem i panią major. Byłem mu wdzięczny. Wiedziałem, że nie ominie mnie wizyta w koszarach, ale dano mi szansę rozpoczęcia dnia we właściwy sposób.

– Poproszę dwie bułki z cze... koladą. – Nadal miałem kłopoty z płynną wymową. Poranki były szczególnie trudne. – Oraz kawę... z mlekiem. Bez cukru.

Potężny czarnoskóry Weyland górował nad okrągłym stolikiem z tekowego drewna. Musieli wejść do kawiarni dosłownie przed chwilą, ponieważ z okrągłych okularów Arcymaga jeszcze nie zeszła para. Dwójka oficerów przybyła razem z nim do Ombre poprzedniego wieczoru. Widziałem ich po raz pierwszy w życiu. Pułkownik Archer, wysoki, szpakowaty mężczyzna z wąsikami, robił wrażenie zadbanego pięćdziesięciolatka. Wiedziałem jednak, że był wojskowym magiem, co oznaczało przynajmniej dwieście lat więcej i znajomość licencjonowanej magii bitewnej, z której pomocą mógłby mnie zdmuchnąć w pięć minut; mimo mojej zdolności wchłaniania zaklęć nie zdążyłbym przetworzyć nawet połowy.

Jego sekretarz, pani major, miała skórę o ton jaśniejszą od Weylanda i włosy ostrzyżone na jeża; była szczupłej budowy i niewiele wyższa od Amandine. Gdybym spotkał ją w cywilu, nigdy nie zgadłbym, że jest żołnierzem. Musiała pełnić dla pułkownika podobną rolę asystenta jak ja dla Margueritte, tyle że w ramach hierarchii wojskowej.

Wstali, gdy podszedłem do stolika.

– Pułkownik James Archer. Major Jacqueline Guerin de Branche d'Olivine.

– Vincent Thorpe. Miło poznać.

– Człowiek, który wrócił z Bretanii. – Pułkownik mocno ścisnął moją dłoń.

– Nie jedyne.

– Jedyne, jakiego mamy do dyspozycji. – Archer uśmiechnął się półgębkiem. – A mówiono mi, że znajdę pana w dobrym zdrowiu.

– Jest zimno i wczesnie rano – uciałem. – Będzie le...
piej.

Jak na zawołanie zjawił się subiekt z tacą, na której stały cztery filiżanki – Weyland pił herbatę z mlekiem, oficerowie czarną kawę po doloriańsku – w filiżankach jak dla lalek – oraz talerzyki z ręcznie malowanej awalońskiej porcelany z rogalikami i bułkami. Rozstawił je wokół nas fachowym gestem i zniknął za kontuarem. Pośród gwaru rozmów, szumu ekspresu i zgrzytu młynka do kawy postronni nie mogli nas słyszeć.

– Muszę powiedzieć Charlesowi, że wczesne przywileje emerytalne dla pomocników magicznych to wcale nie przesada – mruknął pułkownik, związując papierosa. – Chociaż, prawda, nie każdy zajmuje się odkrywaniem nowych lądów. I nie każdy pracuje dla de Breville. Koniec kontraktu musiał być dla pana ulgą?

– W pewnym sensie. – Pociągnąłem łyk kawy z filiżanki, smakując bogatą goryczką na języku. Wiwat Zjednoczona Republika Arborii. – Mam jeszcze... coś do zrobienia.

Pułkownik Archer skinął głową.

– Inaczej nie podchodziłby pan do egzaminu dyplomowego. Porozmawiamy o tym w sztabie. – Wyciągnął zalakowaną ozdobną kopertę. – Proszę przeczytać i dobrze się zastanowić.

Królewska pieczęć. To znaczy pochodząca z Kancelarii Królewskiej Służby Ochrony, nie byliśmy przecież w Bretanii. Zerknąłem w stronę Arcymaga Weylanda. Ile pułkownik wie? Ile powinienem mu powiedzieć?

– Trzeci poziom dostępu – rzucił w moją stronę Weyland. – W kopercie znajdziesz zapewne ofertę pracy nieco bardziej odpowiadającą twoim kwalifikacjom niż etat więdźmy w Ombre. Panie Archer, nie przeszkadza panu, że pan Thorpe jest lojalny wobec Gildii?

Czy mi się tylko zdawało, czy jego głos drgnął przy wypowiedaniu tych słów? Ukryłem zmieszanie, zatapiając zęby w bułce z czekoladą. Od naszego powrotu w zachowaniu Weylanda wyczuwałem ledwo zauważalną rezerwę, może ostrożność. Czy to, czego dokonaliśmy w Bretanii, mogło wstrząsnąć nawet Arcymagiem? Kiedyś uważałem go za niewzruszonego. Miał ponad trzysta lat i większą wiedzę o działaniu naszego świata niż ktokolwiek inny. Także teraz – nie sądziłem, by Meg cokolwiek przed nim ukrywała, chociaż ja pewnie zdecydowałbym inaczej; przeczytał też dokumentację budowy Mostu.

– Tym lepiej. – Pułkownik Archer wzruszył ramionami. – Ścisła współpraca w tej sprawie będzie korzystna dla obu stron. Przy okazji: Thorpe, Thorpe... to przypadkowa zbieżność nazwisk czy jednak jest pan spokrewniony?

Jacqueline, sekretarz, o której prawie zapomniałem, drgnęła nad swoją kawą.

Coś takiego, sami wielbiciele historii. Ale to było niebezpieczne pytanie; powiedział mi o sobie więcej, niżby chciał.

– Z kim?

James Archer się roześmiał.

– To taki hermetyczny żart. Może pan kiedyś spytać Szaloną Meg. Wędrowiec mi świadkiem, wreszcie zapracowała na ten swój przydomek. Oczekuję pana w sztabie o dziesiątej.

Oficerowie szybko dokończyli kawę, pożegnali się i wyszli. Zostaliśmy z Weylandem nad naszymi bułkami i rogalikami, krzywo popatrując na siebie nawzajem. Zobaczyłem, jak palce Arcymaga dyskretnie układają się w zakłęcie przeciwpodśluchowe.

– Nie wie, prawda? – spytałem wreszcie.

– Nie i nie powinien wiedzieć. – Weyland wyciągnął z chlebaka zwiniętą w rulon gazetę. – Podejrzewają Meg albo kogoś z Drugiej Strony. Ale to porządny szpieg, więc nie potrafi się powstrzymać. Miej to na uwadze, będzie cię prowokował. Dostałem żądania z samej góry, aby udostępnić mu dokumentację budowy, i mam wobec tego bardzo mieszane uczucia. Jeśli coś trafi w ręce wojska, prędzej czy później zrobią z tego broń. Pociesza mnie, że zrozumienie istoty sprawy wymaga specjalistycznej wiedzy, jaką dysponuje w tej chwili tylko kilka osób na świecie. Radziłbym zatem trzymać się poziomu trzeciego. Oczywiście – zmrużył oczy – to twoja decyzja.

Czyli traktował mnie jak samodzielnego gracza, i to takiego, któremu jeszcze nie ufał. Nic dziwnego, że nie wtajemniczył mnie w wewnętrzne sprawy Cienia Gildii. Nie należałem już do Meg, a nie pokazałem, kim się stałem; i nie chodziło wyłącznie o zdolności Maga Pustki. Minął prawie rok, odkąd wyruszyłem do Bretanii; w tym czasie umarłem, wróciłem do życia, uczestniczyłem w wojnie i budowie nowej Gildii Magów, a na koniec wspólnie z Belinde i Kathryn stworzyłem dzieło

magiczne w postaci Mostu łączącego dwa rozdarte kontynenty. Nie byłem tym samym człowiekiem, któremu Arcymag zburzył dotychczasowy porządek świata podczas jednej krótkiej pogawędki.

Tymczasem Weyland rozwinął gazetę na stoliku.

– Trzecia strona i tylko jedna kolumna. – Zniżył głos.
– Ludzie wierzą, że wojsko stacjonuje w Ombre z powodu opóźnionych skutków obecności duszosmoka, a Most był noworoczną iluzją. Chciałbym, żeby tak na razie zostało.



Dylichans w stronę Mostu odjeżdżał za godzinę, toteż została mi chwila, żeby wrócić do kwatery. Od Nowego Roku zajmowaliśmy przestronną izbę u gosposi pod miasteczkiem. Teoretycznie mieliśmy ze sobą dość bretańskiego złota i klejnotów, aby opłacić półroczny pobyt w Srebrnej Gęsi, ale w praktyce ich sprzedaż byłaby nieco kłopotliwa. Poza tym zdecydowaliśmy zachować biżuterię na wypadek powrotu do Bretanii.

Meg zabrano do szpitala już na początku stycznia, ale pozostali wyjechali z Ombre niespełna tydzień temu i dopiero dotarli do stolicy. Teraz Margueritte została już wypisana z oddziału i Liliana dołączyła do niej u moich rodziców na wsi pod Avalonem, gdzie klimat bardziej sprzyjał rekonwalescencji i wątłemu dziecku niż w ponurym dworcu de Branche d'Ambre na wrzosowiskach Północnej Arborii. Oraz, w razie czego, było stamtąd bliżej do lekarza.

Bretańczycy przechodzili w Ombre aklimatyzację. Belinde założyła, że mała turystyczna miejscowość nada

się do tego lepiej niż stolica kraju. Poza tym należało jakoś zabezpieczyć Most; pracowaliśmy nad tym z Kathryn. Na razie swobodny ruch między krainami wywołałby tylko kłopoty.

Ja i Amandine nie spieszyliśmy się z powrotem do Avalonu. Pani Revas, gospodyni, która wynajmowała nam apartament w kamienicy, czekała o kilka miesięcy za długo. Gdyby nie interwencja Arcymaga, być może nasze rzeczy trafiłyby na targ używanych mebli i odzieży, a tak tylko spoczywały w skrzyniach gdzieś u Weylanda. Nasze dawne pokoje zamieszkiwało stateczne małżeństwo urzędników z niemowlakiem, niezdradzające inklinacji do magii, które nie zamierzało ruszać się z Avalonu dalej niż do rodziny na święta.

Wielokrotnie rozmawiałem przez kulę magiczną z rodzicami.

Poprosiłem też panią Revas, aby przekazała mi zaległą pocztę. Jakimś cudem, może dzięki temu, że naszym dobytkiem zajął się Arcymag, gospodyni gromadziła listy, które nadal przychodziły na ten adres.

Zamówiłem broszury informacyjne Uniwersytetu Avalońskiego i Centralnego Szpitala. Rodził się we mnie dość mglisty zamiar podjęcia studiów medycznych. Jako jedyna osoba na świecie, która potrafi przetwarzać skażenie – przynajmniej dopóki Lily nie rozwinie Źródła w stopniu, który pozwoli jej samodzielnie zmieniać postać na smoczą – chciałem od razu pojechać do szpitala i zabrać się do roboty, ale Weyland mnie powstrzymał. Zbyt duże ryzyko zdemaskowania, twierdził; na razie mógłbym więcej zaszkodzić, niż pomóc.

Zaprenumerowałem też katalogi ślubne. I skoro na razie nie miałem pracy, zupełnie szczerze starałem się wypoczywać.

Bielony domek z ceglasczerwonymi dachówkami pomimo mgły wyraźnie odcinał się od łąki przykrytej zaskorupiałą, cienką warstwą śniegu. Zastałem Amandine na werandzie, w pełni już rozbudzoną. Zasiadła przy drewnianym stoliku, podłożywszy sobie najpierw gruby koc, i owinięta w pled popijała z kubka parujące kakao, od niechcienia podczytując romans. Nie zauważyła mnie od razu; odgarnęła za ucho kosmyk splątanych rudych włosów, ściągnęła usta w reakcji na jakąś scenę w lekturze. Przyglądałem się jej przez chwilę; wzbierało we mnie ciepło.

Przesłałem jej sygnał telepatyczny. Odwróciła się w moją stronę, nieco zatroskana.

– I jak?

Usiadłem obok na ławie i wyciągnąłem kopertę z kieszeni płaszcza. Amandine odruchowo oparła się o mnie, zajrzała mi przez ramię. Gwizdnęła leciutko, zobaczywszy królewską pieczęć.

– Spodziewałam się tego – mruknęła. – I tak im trochę zajęło zainteresowanie się tobą.

„Zastanawiam się, jaki to ma związek z poczynaniami naszych przyjaciół w Avalonie”.

– Nie dowiemy się, dopóki nie otworzysz koperty. – Podała mi nóż, którym przed chwilą odkroiła sobie pajdę chleba. – A co mówi Weyland?

Powtórzyłem jego słowa, ostrożnie rozcinając papier. W środku znajdował się tylko jeden dokument, wydrukowany tłoczonymi literami na kremowym czerpanym papierze ze znakami wodnymi przedstawiającymi kró-

lewski herb. Zaproszenie na kameralną ceremonię zaprzysiężenia na oficera wywiadu w stopniu majora, sygnowane przez samą Gwendolyn Bayonne de Branche d'Aquamarine, królową Zjednoczonej Republiki Arborii.

– No tak. – Amandine nachylała się nad listem. Jej ciepło ogrzewało mi ramię. – I co o tym sądzisz?

„Nawet nie traktują poważnie tego, że możemy mieć własne interesy związane z Bretanią – westchnąłem. – Oczywiście nic dziwnego, przecież to barbarzyński obcy kraj, gdzie dzicy toczą walki o paciorki; nikt mi nie musi tłumaczyć, jak zostały odebrane terenowe raporty Meg. Przynajmniej te, które Weyland udostępnił służbom wywiadu. Poza tym tak jak powiedział, wojsko prowadzi wojny. Ciekawe, ile czasu by zajęło, zanim byłbym zmuszony wybierać między jedną albo drugą stroną. Frakcja Belinde przegrała wybory, Imperialiści znowu zdobyli większość w Parlamencie... Istnieje spore ryzyko, że zechcą ruszyć na wyprawę”.

– Królowa jest z poprzedniego rozdania... – zauważyła Amandine. – Ma spore poparcie. A do elekcji zostało jeszcze trochę czasu.

„Tak, Federaliści woleliby raczej skolonizować Bretanię pokojowo – rozłożyłem ręce – natomiast Separatyści mają kilka foteli w obydwu Izbach, a nawet gdyby było inaczej, są bandą nieprzewidywalnych wariatów. Chęć ustanowienia niepodległości poszczególnych prowincji może wcale nie pohamować chęci podporządkowania sobie obcego świata. Może powinniśmy ujawnić, że Utracona Bretania została już przez nas podbita?”.

– Ciekawe, kto pierwszy wyprowadziłby nas z błędu – mruknęła Amandine. – Jej Wysokość Gwen czy regentka Theresa von Feuerstein.

– Kiedy to się wszystko tak skomplikowało? – jęknęłam na głos. Kawa zaczęła działać, rozplątywały się mięśnie i nerwy, powoli wracała mi zdolność mowy.

– Zastanawiam się, co zrobią, jak się dowiedzą, kogo tak naprawdę chcą zatrudnić. – Amandine ściągnęła usta. – Zaczekaj.

Wstała i na dłuższą chwilę zniknęła w domku. Splotem ramiona; zbłąkany podmuch wiatru przemknął przez werandę. Przejął mnie chłód.

– No. – Moja narzeczona wróciła wreszcie, bardzo zadowolona z siebie. Dzierżyła w dłoniach długi kij w futerale z zielonego aksamitu.

– Amandine...

– Weźmiesz ją do bazy.

– Ale...

– Obserwowałeś mnie? Pamiętasz choć trochę, jak się tym posługiwać? – Amandine wysunęła magiczną laskę z futerału. Na czarnym lśniącym tworzywie odznaczały się złote symbole. – Tutaj jest Bańka Kinetyczna. Zapamiętaj, proszę. Tutaj bańka, a tutaj Kula Ognia. – Ujęła moją dłoń i naprowadziła na znaki.

– Amandine, przecież to jest twoje. Nie mogę jej przyjąć. Gdyby coś się działo, potrafię się obronić.

– Po pierwsze, niestety nie moje, tylko Gildii. – Zmarszczyła brwi. – Po drugie, Weyland powiedział, że pułkownik może cię prowokować.

– Słownie! – zaprotestowałem. – Daj spokój! Przecież nie będzie we mnie ciskał błyskawicą!

– A widzisz, gdybym to ja miała choćby pięć procent wątpliwości, czy mój potencjalny współpracownik przypadkiem nie ukrywa przede mną rzadkiego magicznego talentu, właśnie to bym zrobiła – odparła moja narze-

czona. – Cisnęłabym w niego błyskawicą i sprawdziła, jak się broni. Weyland mówi, że podejrzewają Meg. Jeśli tak było, pewnie już przejrzeni jej akta i zbadali Źródło w szpitalu; sądzę, że gromadzą o niej dane od co najmniej stulecia. Bardziej prawdopodobne, że weszliśmy w sojusz z bretańskim Magiem Pustki. Ale, rzecz jasna, trzeba wykluczyć wszystkie inne możliwości.

Nie podobało mi się to ani trochę, ale miała rację.

– Widzisz... – Usiadła już nieco spokojniej na ławie, sięgnęła po niedopite kakao. – Dla nich nawet nie jestem stroną. Nie mam talentu magicznego, więc mnie nie doceniają. W Arborii nie potrzebuję ochrony. Chyba że otworzę nową wystawę, wtedy zawsze się przyda ktoś do pilnowania, żeby pijak wernisażowy nie wychlał całego wina dla gości. Prędzej czy później będę musiała się ogarnąć od dziennikarzy, bo jako nieutalentowana jestem dla nich bardziej dostępna niż czarodzieje. Ale na razie mam spokój.

„O ile nie wyjdzie na jaw, kim jestem” – dodałem w myślach. Gdyby chodziło tylko o politykę Gildii, nie przejmowałbym się. Gdyby o mnie – nie takie rzeczy już przeżyłem. Ale Amandine zasługiwała na choćby chwilę oddechu i namiastkę normalności. Wiedziałem, że gdy ja zażywałem relaksu w Ombre (no dobrze, trochę pracowałem nad bramą broniącą wstępu na Most), moja narzeczona, Nadworna Magini Amandine Cerise de Branche d’Aure, nadal kontaktowała się przez kulę magiczną z Theresą von Feuerstein oraz Blancheflor, Arcymistrzynią nowo założonej Gildii Magów Królestwa Bretanii. Świeżo zagruntowane płótna leżały w kącie izby, nietknięte pędzlem.

W zamyśleniu przesunąłem dłonią po złotych symbolach. Tak naprawdę nigdy w pełni nie wróciliśmy do Ar-

borii. I jeżeli chcemy, zamiast dać się nieść prądom historii, wykroić dla siebie kawałek życia w nowych warunkach i na własnych zasadach, trzeba będzie o nie walczyć.



Dylizans sunął gładkim cesarskim traktem pomiędzy zalesionymi wzgórzami rejonu przygranicznego. Nie musiałem oszczędzać jednostek na nic większego i kusiło mnie, żeby zabrać się Lotem, podobnie jak zapewne zrobili to oficerowie. Ale półaktywni czarodzieje – a za takiego chciałem uchodzić – zazwyczaj nie mieli Źródeł dostatecznie silnych na tak zaawansowaną magię.

Towarzyszyli mi inni pasażerowie: dwójka żołnierzy wracających z miasta, starszy mężczyzna w długim wełnianym płaszczu i z binoklami, który wyglądał na prawnika albo sekretarza, oraz młode małżeństwo z koszykiem piknikowym, kończące trasę na Poziomkowej Górcie. Podniosła się mgła i chłodne, jasne promienie słońca skrzyły się na zestalonym śniegu. Powyżej Ombre grube śnieżne pokrywy zakrywały jeszcze ziemię i zwisały z gałęzi drzew. Wiosna docierała tutaj mniej więcej miesiąc później niż do Avalonu.

Minął nas powóz jadący z naprzeciwka. Poprzednim razem te okolice należały już do skażonej strefy, ale odkąd zamknęliśmy Rozpadlinę, a służby porządkowe starannie oczyściły okolice kanionu z pyłu, promieniowanie tła spadło do akceptowalnych wartości. Zabrałem ze sobą wykrywacz skażenia, ale nie włączałem go; wystraszyłbym tylko nieobeznanych z magią towarzyszy podróży. Zmysł Maga Pustki mówił mi jednak wyraźnie, że jest już całkiem bezpiecznie.

Przywrócono tutaj regularny ruch dylizansów, a nawet – częściowo – infrastrukturę turystyczną. Kolejka linowa z krzeselkami, którą rok temu mijaliśmy w drodze do rozpadliny, z wolna podciągała pasażerów ku górze. Turystów nie było zbyt wielu; baza wojskowa, która w połowie stycznia wykwitła nad kanionem Cabochon, przedwcześnie i skutecznie zakończyła sezon. Z daleka dostrzegłem jednak ciemnoniebieskie mundury; żołnierze na przepustkach poprawiali sytuację.

Wreszcie zza porośniętych gęstym lasem wzgórz, poprzecinanych tu i ówdzie wąskimi stokami narciarskimi, wyłoniła się gigantyczna czarna stalowa konstrukcja. Starożytny most, zbudowany jeszcze w czasie Cesarstwa Triumwiratu nad wyschniętą rzeką Morion, stykał się w samym środku z międzyświatowym Mostem prowadzącym przez Pustkę do Bretanii, ale tego drugiego nikt nie widział. I nic dziwnego, bo Belinde z Kathryn pracowały nad tą iluzją chyba z tydzień. Wciąż nie mogłem uwierzyć, co potrafi dwójka magów Creo na pełnych obrotach. Oficjalnie to właśnie Most był iluzją stworzoną z okazji Nowego Roku, a czarodziejki rozplotły ją wraz z zakończeniem świętowania. Wśród cywilów w Ombre prawdę znał tylko burmistrz Randall Hardy.

Co mnie trochę martwiło, bo znając burmistrza, to dokładnie jedna osoba za dużo.

Baza wojskowa rozstawiła się na brzegu kanionu i częściowo na samym moście (tym starożytnym). Z daleka widziałem prostokątne kształty nowo wzniesionych drewnianych baraków i małe figurki ludzi krążących wokół w rozlicznych imitacjach pożytecznych zajęć, jakie zwykle wynajduje się znudzonym żołnierzom.

– Niech to licha...! – usłyszałem zachwycony głos starszego pana, który – jak się okazało – podróżował z nami aż do bazy. Mężczyzna wystawiał głowę przez okno i gapił się, jakby zobaczył smoka. W pierwszej chwili nie zwróciłem na niego uwagi. Stalowy most nad kanionem Cabochon, pomnik zaginionych cesarskich technologii, budził entuzjastyczne reakcje.

Zaraz się jednak zorientowałem, że mój towarzysz kieruje spojrzenie tam, gdzie mnie widok całkowicie zasłaniał dach dylizansu.

– Proszę popatrzeć! – zawołał. – Niesamowite! Niech pan spojrzy, pierwszy raz w życiu widzę coś podobnego!

Ledwo wcisnąłem obok niego głowę w okno. Zerknąłem w stronę bazy, ku górze i w lewą stronę. I szeroko otworzyłem usta.

Nad kanionem Cabochon, przytwierdzony do ziemi dziesiątkami metrów lin kotwicznych, dryfował smukły automagiczny statek latający. Z szarym obłym balonem wypełnionym gazem, który zmniejszał jego ciężar. Z silnikami zamontowanymi po bokach i z tyłu, tak aby zapewnić pełną sterowność. Oraz gigantycznym godłem Zjednoczonej Republiki Arborii. Z tej odległości nie dostrzegałem run antygrawitacyjnych, ale musiały pokrywać cały rdzeń konstrukcji, żeby utrzymała się w powietrzu. Balon wydawał się dość mały i wąski w porównaniu z podwieszoną częścią pasażerską, ale znacznie bardziej zwrotny niż zwykle niemagiczne aerostaty. Jak to zrobili, żeby wystarczyło im jednostek na całą podróż? Skąd zdobyli tyle helu? Nikt zdrowy na umyśle nie użyłby wodoru, gdyż zbyt wielu magów ma zdolność tworzenia ognia. Trafiłem kiedyś na szkice prototypów,

ale nie sądziłem, że w tym pięćdziesięcioleciu uda się pokonać trudności techniczne.

W Arborii nie było nas prawie rok.

Nie da się ukryć, że świat się zmienił.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl
www.nk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 53 g/m² wol. 2,4.*

ZING

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redaktor *Sylvia Sandowska-Dobija*
Korekta *Ewa Mościcka, Magdalena Szroeder*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna
Joanna Piotrowska

ISBN 978-83-10-13184-3

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2017 r.
Wydanie pierwsze
Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań